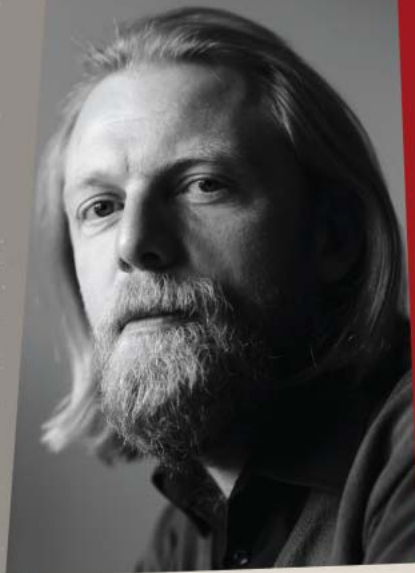




MAX CEGIELSKI
MOZAIKA

ŚLADAMI
RECHOWICZÓW



MAX CEGIELSKI

(ur. 1975) – realizuje reportaże dla TVP Kultura i prowadzi programy w ALE KINO!, publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Le Monde diplomatique”, „Dzienniku”. Jako didżej i prezenter pracował m.in. w Radiostacji i Radiu Jazz, obecnie zaś związany jest z Radiem Roxy. Był jednym z założycieli muzycznego kolektywu Masala, z którym odebrał nagrodę „Antyfaszysty roku 2004”, przyznawaną przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”. Autor książek: *Masala* (W.A.B. 2002), *Apokalipso* (W.A.B. 2004), *Pijani Bogiem* (W.A.B. 2007) oraz *Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu* (W.A.B. 2009). Za tę ostatnią otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak.

MAX CEGIELSKI MOZAIKA

ŚLADAMI
RECHOWICZÓW

Wydawnictwo
arab

Podczas prac nad książką autor korzystał ze stypendium
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

Rodzicom i dzieciom



NIE PAMIĘTAM, jaką barwę miało światło ani jaki odcień szarości dominował, nie opiszę barwy liści ani temperatury powietrza. W jednostajnie bure, jesienne przed- lub popołudnia zacierają się nawet kanty architektury przedwojennego osiedla. Kształty, kolory i czas rozmywają się w subiektywnej bylejakości. W dziury po kulach z 1944 roku powkładano kamienie, tworzące mozaikę. Z otoczków zeszła farba, którą zostały pomalowane, tylko na skrawkach ściany mieni się parę plam drogiej, kolorowej farby, importowanej z Zachodu do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Żelazna, zardzewiała furtka nie broni dostępu do ogródka zniszczonego jak stary dywan. Zamek nie działa, nie trzeba przeskakiwać płotów, grubych kresek ani przepaści społecznych. Chciałbym od razu budować metaforę, najlepiej, żeby nie działał od 1989 roku. To by pasowało do układanki z małych elementów, kompozycji z szumów, zlepów i ciągów.

Zostało jeszcze pięć minut do umówionej godziny, tak samo dobrej na rozpoczęcie akcji jak każda inna. Ani

za mało, ani za bardzo symbolicznej: godzina W, godzina X, Y, Z. Po prostu ustalmy, arbitralnie, że to początek. Inaczej się po prostu nie dało. Właścicielka domu przy małej uliczce w centrum miasta nie chciała spotkać się wcześniej.

Miejsce osiadło na bocznej mieliźnie czasu, który nie całkiem się tu zatrzymał, ale spowolnił bieg. Za fasadą nie kryje się sanatorium pod klepsydrą, to byłoby zbyt ciekawe. Po prostu tutaj chodzi się późno spać i równie późno wstaje; nie używa się telefonów komórkowych, nie ma komputera ani internetu. Mogę się spóźnić, nikt nie zauważy, lecz nie mogę przyjść za wcześnie – to akurat zostanie dostrzeżone w półmroku wewnątrz. Od ulicy ich nie widać, okna zarośnięte bluszczem, zasłonięte jedwabnymi, kiedyś bajecznie kolorowymi tkaninami, szyby bardziej szare od dnia, w którym się zjawiam. Wkraczam w przeszłość, gdzie zamierzam znaleźć ukrytą ścieżkę do teraźniejszości, a nawet liczę po cichu na ślady prowadzące w przyszłość.

Fresk i mozaika od strony ulicy zatarły się i zszarzały, a może kolor nigdy nie został położony, może nie dokończono dzieła? Może prace wciąż trwają, tylko robotnicy na chwilę je przerwali? Mają fajrant, ale wrócą pewnego dnia, dokończą dzieło, a przy okazji naprawią zamek i zamkną furtkę. Tuż obok, u zamkniętego dla samochodów wyłotu uliczki, tworzy się korek. Codziennie rano pęcznieje, kiedy kierowcy chcą skręcić z przelotowej trasy na jedną z głównych ulic. W korku stoją terminy i godziny, szlagiery, nazwiska, gwiazdy, znajomości, które mijam na rowerze. Zaraz obok, w dwupiętrowym domku schowanym między bankami, biurami, urzędami i ministerstwami, każde nazwisko ulega przekręceniu. Nikt nie może więc czuć się pewny swojego prestiżu i znaczenia. Kalendarze i spisy tele-

fonów rozsypują się jak hieroglify na papiirusie. Właścicielka zawsze zapomina i myli, kto jest szefem czego i jak ma na nazwisko. To dodaje otuchy, znane mi współczesne układy towarzyskie rozpadają się w oczach, w uchu, na języku domowników. Wszystko jest więc możliwe, dźwięki tworzą anarchistyczną alternatywę, tymczasową strefę autonomiczną, zryw audiowolności. Tutaj historie ciągle wydarzają się na nowo, zmienia się więc także Historia – ruchliwy, niesforny, czasem dziki zwierz. Kameleon ciągle przybierający inne barwy i kształty. Nic nie jest pewne, czuję szansę na pokonanie niemożliwości.

Wkraczam w wieczny półmrok wnętrza. Dotykam dłonią kolorowego fresku na ścianie klatki schodowej, żeby upewnić się, czy ten dom naprawdę istnieje.

– Wiesz, coś sobie przypomniałam. – Słyszę głos dobiegający z górnych piętér. Hania schodzi już, mówiąc. Uśmiecha się, ale nie ma czasu na żadne powitania, impulsy muszą być natychmiast wcielane w życie. Czuję się drobnym, mdłym burzumem, który traci czas na formalne błahostki i puste formy towarzyskie. Ona nie daje mi odetchnąć, nie pozwala rozpląnąć się w kontemplacji, ona działa i czasem aż zawstydzają *élan vital*.

Jest niewysoka i bardzo szczupła, skąd bierze więc aż tyle twórczej energii? Czuję się przy niej stary, za stary, zmurszały i zgrzybiały. Czy w tym domu prawa fizyki i upływ czasu tracą ważność? Może to jednak sanatorium pod klepsydrą Schulza i Hasa? Ile Hania może mieć lat? Kim jest? Jak ją określić? Panią? Damą? Na pewno nie „gospodynią domu”, jak napisałem w pierwszej wersji tekstu, a później to usunąłem, zgadzając się, że owo określenie nie pasuje do roli granej przez nią tutaj i w ogóle w życiu. Odpowiednich słów będę jeszcze długo szukał. Mam wrażenie, że schodzi do

mnie z piętra usytuowanego w innej epoce. Jest jak gwiazda wkraczająca na scenę, w każdej odsłonie programu zakłada inną kreację. Hipisowska czapka z dużym daszkiem, kiedy indziej kapelusz, dużo własnoręcznie robionej biżuterii, wzorzyste spódnice, które czasem wydają się nieprzyzwoicie krótkie. Stroje są jak obrazy jej męża, ktoś wspominał, że w latach sześćdziesiątych byli z Rechowiczem jak rajskie ptaki. Na pewno jest artystką.

– Przypomniałam sobie, że w południe Gaber cichaczem wychodził stąd z Edziem. – Kiedy siadamy pod oknami wychodzącymi na ogród za domem, Hania kontynuuje kwestię



Gabriel i Hania Rechowiczowie w latach dziewięćdziesiątych.

rozpoczętą na schodach. – Wypatrzyli niespaloną kamienicę, która istnieje do dziś. – Twierdzi, choć wydaje mi się, że nie ma pojęcia, czy ten dom rzeczywiście wciąż stoi na swoim miejscu. Każdą opowieść ubarwia, dodaje kolory i detale, tak jak komponuje stroje, dlatego zawsze muszę być ostrożny. A jeśli wcale nie muszę zachowywać czekistowskiej czujności? Kto dziś zresztą pamięta, co to była „czekistowska czujność”? I jakie to ma znaczenie, czy kamienica oparła się historii, czy nie? Lepiej, żeby stała, można by powtórzyć wyczyny Edzia i Gabra. Może cała anegdota jest wymyślona, utkana z wycinków i skojarzeń po to, żeby zaspokoić moją ciekawość. Czy to źle? Przecież trwa przedstawienie rozpoczęte na schodach.

– Haniu, powiedz ładnie, jak do kamery, kto jest kto?

– Co to za słowo „ładnie”?

– Powiedz tak, żeby zainteresować, atrakcyjnie, ciekawie.

– Po co?

– Żeby czytelnik wiedział, o co chodzi...

– A musi wiedzieć?

– Dobrze by było...

– ...Mój mąż Gabriel, czyli Gaber, wszyscy go tak nazywali, a nas Gabrami... A więc mój mąż Gaber Rechowicz i nasz przyjaciel Edward Krasiński... Tak dobrze wyszło?

– Ślicznie...

– Okropne słowo! A czy ktoś wie, kto to był Krasiński? Bo na pewno nie znają Gabra...

– Dlatego trzeba go przedstawić. Poza paroma historykami sztuki, artystami i im podobnymi nikt nie wie, kim był Krasiński, ale to wyjaśnimy później. To postać drugoplanowa, więc wróćmy do głównej opowieści...

– Dobrze, sam chciałeś i mi przerwałeś... Tam było podwórko, studnia. Nie za szeroka, nie za wąska; w sam raz.

Pomyśleli sobie, że to będzie ciekawe, który przeskoczy, a który się zwali na dół...

– Jak to? – pytam jako racjonalny przedstawiciel pokolenia przejściowego, stojącego okrakiem między komunizmem a kapitalizmem. Wiem, że takimi eksperymentami podwyższa sobie adrenalinę młodsze ode mnie pokolenie. Nie przyszło mi do głowy, że pięćdziesiąt lat temu działały się podobne rzeczy. Ja sam manipulowałem ciśnieniem i poziomem endorfiny zupełnie inaczej. Staram się wierzyć w tę opowieść, zależy mi na jej prawdziwości, więc dziwię się, tak jakby była realna.

– Wymyślali sobie takie rzeczy, żeby życie nie było nudne, nie było praktyczne...

PRZYMIOTNIK „PRAKTYCZNE” jest w ustach Hani najgorszym epitetem. To źle, jeśli „coś” służy do „czegoś”, służy „czemuś”. Dobre i piękne są rzeczy niepraktyczne, a więc pozbawione wpływu na rzeczywistość. Przedmioty wykonywane, aby je zrobić, nawet nie po to, aby istniały. Liczy się sztuka dla sztuki, działanie dla działania, życie dla życia. A nie dla idei, postępowej czy konserwatywnej. Rezultaty, a nawet sukcesy, działań są zawsze rozczarowaniem, satysfakcję daje sama aktywność, potem jest zawsze gorzej.

„Piękno jest rzeczą nadrzędną. Interesuje nas sztuka, a nie funkcja” – powiedziała w wywiadzie dla jednego z pism o wnętrzach, w których dziennikarki regularnie opisywały dom Rechowiczów. Taki splót etyki z estetyką nie jest dziś *en vogue*, piękno okazało się burżuazyjnym grzechem. Piękna sztuka została napiętnowana, ponieważ uznano ją za fikcję ukrywającą rzeczywistość konfliktu społecznego. A ja muszę pisać o Hani i Gabrze, mając w dupie współczesną funkcjonalność sztuki służącej „do czegoś”. Muszę rekonstruować

życie bohaterów, olewając postulowaną konieczność wcielenia w życie ideałów wytęsknionej rewolucji. Pisać, nie zważając na zbiorowość, której niepostrzeżenie ulegliśmy, myśląc ciągle o społeczeństwie, a nie o jednostce. Choć wydaje się, że żyjemy w czasach, kiedy każdy krzyczy „Ja! Ja! Ja!”, to w świecie sztuki, zwracając ciągle uwagę na jej konteksty i skutki, zapomnieliśmy o człowieku, staliśmy się więźniami kolektywizacji, walcząc z nią w kolektywach. Żeby spełnić postulat „niepraktyczności”, regularnie powtarzany przez Hanię, i napisać manifest swoich bohaterów lub chociaż dostroić się do nuty ich życia, trzeba mieć gdzieś parytet, wymogi zaangażowania ideologicznego, feminizm i szowinizm. Żeby zrozumieć losy domu z dziurami po kulach, muszę mieć głęboko w dupie bycie pro lub anty, ale też i bycie obok. Czy można w ogóle nie myśleć w tych kategoriach? Po prostu pisać, bo się musi, a nie dlatego, że się powinno? Nie dla idei, nie „po coś”? Nie dlatego, że trzeba, tylko dlatego, że się chce? Czy można mieć w dupie zarówno naukę Kościoła, jak i chęć niezależności? Czy można założyć idealistycznie, że da się jednak próbować być sobą, przyjąć coś bez konsultacji społecznej, a nawet faszystowsko, arbitralnie i prywatnie?

Wiedząc więc, jak głęboko się myślę, rozumiejąc, że nie da się uciec od kontekstów, od ideologicznego „w dupie” oraz „w głębokim poważaniu”, wiedząc to wszystko, zamieniam narratora w błędnego rycerza broniącego sztuki na wieży z kości słoniowej. Skoro Rechowiczowie nie tworzyli nigdy po coś, a teksty o ich sztuce grzęzły w pustych przymiotnikach, to ja także ulegam metamorfozie: zmieniam się w literata bujającego w obłokach i arystokratę zmęczonego rzeczywistością. Zmykam przed nią w przeszłość tej szarej jesieni, około południa. Nie tęsknię za tym, co już było, nie

gloryfikuję historii, nie owijam minionych zdarzeń w złoty papierek. Przez zardzewiałą furtkę domu Rechowiczów wkraczam we wspomnienia, żeby dowiedzieć się, skąd się wzięłam ja i świat, aby poznać ich i samego siebie.



2

URODZIŁEM SIĘ pośród kolorowych mozaik, które zmieniały znaczenia architektury Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Mam wrażenie, że wychowałem się w przestrzeniach niedokończonych i wciąż podatnych na zmiany, w pustawym mieście, gdzie historia nie spodziewała się własnego końca. Stolica składa się wtedy z dekoracji, niszczących i wciąż czekających na rozwój wydarzeń. Dzięki temu komunikaty nie gryzą w oczy, wciąż więcej wolnego miejsca, gdzie hula wiatr, niż informacji. Niewiele rekwizytów, mało samochodów, mniej ludzi niż dziś, tłok w autobusie, ale nie na ulicy. Mieszanka obrazów z czarno-białych zdjęć i atakującego znieńacka koloru. Rekonstruuję samego siebie z powidoków, archiwalnych strzępów, odpadów, szczegółów tła i niepewnych relacji z drugiego planu.

NAJPIERW BUDYNEK, który pamiętam z dzieciństwa, a którego zgłiszcza straszły do niedawna niedaleko miejsca, gdzie obecnie mieszkam. Minęły trzy lata od dramatycznego